

ALPHA TEAM

Oliwkowy, mocno sfatygowany landrower z ledwie widocznym napisem S.T.A.R.S na drzwiach kabiny, zwolnił i zjechał na pobocze wyboistej, szutrowej drogi. Zatrzymał się na poślizniętej kępie wątlej trawy, tuż obok niewysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, rozpiętego między rozeschniętymi, drewnianymi palikami. W gęstych splotach zasieków tkwiły zasuszone truchła zwierząt, które jakiś czas temu wpadły w tę śmiertelną pułpkę. Trzy paliki dalej duży beżowy królik rzucił się nerwowo, zapewne wystraszony widokiem nadjeżdżającego pojazdu, zaciskając ostre jak brzytwy pętle na swoim ciele. Widać było wyraźnie, jak tryska krew z rozciętych tętnic. Zwierzę zatrzęsło się w przedśmiertnych konwulsjach i zawisło na ogrodzeniu tuż obok kilku kawalków wyschniętej skóry i wystającej z niej cienkiej kości trzymającej się na resztkach ścięgien.

Nikt nie zwrócił uwagi na tę śmierć. Tak kierowca, jak i pasażerka spoglądali w tym czasie na zamontowane w desce rozdzielczej urządzenia. Nie interesowała ich zupełnie ta spalona słońcem i pocięta liniami zasieków stepowa równina, która zdawała się nie mieć końca. Nie interesowała polna droga, którą widać było na odległym horyzoncie gdzie znikala za niewysokim pagórkem a po przeciwnej stronie, na niemal identycznym wzniesieniu zza którego nie tak dawno wyjechali.

Kierowca nie gasił silnika, poczekał tylko krótką chwilę, aż porywisty wiatr rozwieje wzniesioną kołami chmurę pyłu i z głośnym zgrzytem otworzył metalową klapę w dachu pojazdu. Wystawił głowę na zewnątrz, sprawdził raz jeszcze odczyt podręcznego GPS-a i machnął ręką, wskazując kierunek otyłemu mężczyźnie w wojskowej bluzie bez rękawów, siedzącemu w ażurowym koszu na szczycie trzymetrowego, stalowego masztu zamontowanego między kabiną a, pokrytą plandeką, skrzynią pojazdu. Tamten skinął głową i natychmiast przyłożył do oczu ogromną wojskową lornetkę.

Kierowca, wysoki szczupły szatyn o rzadkich, krótko przystrzyżonych włosach, wśród których jaśniało kilka pasemek siwizny, poprawił sportowe, przeciwsłoneczne okulary i otarł chustą pot z opalonego na ciemny brąz czoła. Nie schował się przed morderczym żarem słońca, czekał na wynik rekonesansu, nerwowo oblizując spierzchnięte wargi. Obserwator obracał się powoli w swoim gnieździe, wreszcie znicruciomiał na kilka sekund, przestał nawet ostentacyjnie żuć gumę, po czym powoli odsunął okular lornetki od oczu. Spojrzał w dół i wyszczerzył idealnie białe zęby w szerokim uśmiechu. Nie powiedział nic, tylko złożył kciuk i palec wskazujący w

charakterystycznym geście sukcesu. Potem wskazał tą samą ręką kierunek, mniej więcej pokrywający się z pierwszym wskazaniem kierowcy i wysunął przed siebie drugą dłoń z trzema wyprostowanymi palcami.

Szatyn zsalutował mu i natychmiast zniknął w kabinie. Pociągnięta parcianym paskiem klapa z hukiem opadła na swoje miejsce wzbijając tuman pyłu.

- Mamy kontakt wzrokowy - powiedział kierowca, opadając na pokryte pyłem siedzenie.

Siedząca obok, szczupła, co najwyżej dwudziestoparoletnia kobieta o typowej słowiańskiej urodzie, w mocno spranym podkoszulku barwy khaki, opinającym płaski biust, podniosła kapelusz, upychając pod rondo niesforny kosmyk włosów o barwie dojrzałej pszenicy. Nie odpowiedziała, skinęła jedynie lekko głową i poprawiła odrobinę przyduże okulary, które przy tym geście zsunęły się po śliskiej od potu skórze na nosie. Skrzynia biegów zazgrzytała przeraźliwie, gdy kierowca wrzucił bieg, ale wóz posłusznie, choć z mocnym szarpnięciem ruszył do przodu. Przejechali nie więcej niż milę i znów zatrzymali się, tym razem na szczycie wzgórza, które nie tak dawno wyznaczało linię horyzontu. Kierowca raz jeszcze sprawdził odczyty, wysiadł i zastukał otwartą dłonią w burtę landrowera. Czekając, aż reszta zespołu wysiadzie z wozu, zawiązał na czole bandanę, by powstrzymać krople piekącego potu napływające do oczu. Gdy skończył, stała przed nim cała czwórka. Dwóch mężczyzn - otyły obserwator nieprzerwanie żujący gumę i szczupły blondyn o masywnej szczęce oraz dwie kobiety - blondynka z kabiny i wyższa od niej o głowę szczupła brunetka o zbyt szerokich ustach i oczach jak szparki. Wszyscy trzymali w rękach futerały z bronią.

- Trzy cele - powiedział kierowca i przerwał na moment, obserwując ich twarze. - Idą prosto na nas z południowego zachodu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka minut wejdą w pole rażenia. Chciałeś o coś zapytać, Barry?

- Słuchaj, Chris, jest już za dwadzieścia dwunasta - otyły mężczyzna pokazał masywny zegarek, który zdobił mu prawy przegub. Na lewym miał drugi, znacznie mniejszy i nie złoty. Tamten wskazywał zupełnie inny czas...

- Myślisz, że tylko ty masz Rolexa - zażartował kierowca ale zaraz spoważniał patrząc jak wyciągają karabiny. - Wiem, bracie, która jest godzina i dlatego proponuję, żeby nie gadać, tylko brać się do roboty. Przy odrobinie szczęścia dodamy jeszcze trzy trafienia do tej zmiany. Jill, Barry i Rebecca na platformę, Leon na bocianim obsługuje dalmierz.

Obie kobiety i grubas od razu ruszyli w kierunku samochodu, blondyn został. Oparł kolbę karabinu o ziemię i patrzył blagalnym wzrokiem.

- Jakiś problem? - zapytał Chris.

- Bylem na czujce poprzednim razem - poskarżył się Leon.

- Wiesz dlaczego?

- To już się nie powtórzy - blondyn zmieszał się, ale nadal nie dawał za wygraną. - To był przypadek...

- Wiesz doskonale, gówniarzu, że to nie był żaden przypadek - Chris podszedł do niego tak blisko, że zetknęli się czubkami wojskowych butów. - Skrewileś, choć robota była naprawdę prosta... I wiesz doskonale, dlaczego skrewileś... I ja to wiem, i oni wiedzą - wskazał głową na sadowiących się na Landrowerze strzelców.

- To już się nie powtórzy... - powiedział raz jeszcze Leon, starając się zogniskować wzrok na twarzy przelożonego.

- Wiem - przerwał mu szatyn - i dlatego dzisiaj i jutro będziesz potwierdzał trafienia innych.

- Ale ja...

- Chcesz wylecieć z zespołu? - zapytał Chris. - Nie. Tylko nie to...

- To zapierdalaj na maszt, bo marnujemy cenny czas! Blondyn zarzucił swojego wypieszczonego Dragunova na

ramię i szybko wspiął się po burcie samochodu, a potem po stopniach na bocianie gniazdo. Chris w tym czasie wsiadł do szoferki i ponownie otworzył klapę. Tym razem wysunął się bardziej, usiadł na krawędzi otworu tyłem do plandeki i zapalił papierosa.

- Jedenasta czterdzieści cztery. Trzy cele w odległości tysiąc dwadzieścia - zameldował po chwili obsługujący dalmierz Leon. - Idą dokładnie w naszym kierunku.

Chris odwrócił twarz do słońca i przymknął oczy. Czuł, jak ciepły wiatr owiewa mu skórę. Było stanowczo za gorąco, żeby mógł zapomnieć, gdzie jest, nawet przywołując obraz domu...

- Jedenasta czterdzieści sześć - głos Leona ponownie przerwał ciszę. - Trzy cele w odległości tysiąc dziesięć.

- W dwie minuty przeszli dziesięć metrów - jęknęła Rebecca.

- Przeszły - poprawił ją Leon. - Mamy dzisiaj szczęście do samic... Jedna dorosła i dwie młode.

- Jeden grzyb jak dla mnie - blondynka splunęła i odłożyła karabin. - Mogłyby się ruszać szybciej. Zmiana nam się kończy.

- Wy, baby, zawsze ruszacie się jak muchy w smole - zakpił siedzący na samym tyle kratownicy Barry.

- A co ty wiesz o kobietach? - odcięła się Jill.

- Tyle, co mu mama powiedziała - poparła ją czarnowłosa i zaczęły się śmiać.

- Miałem więcej kobiet niż wy trafię - prychnął grubas.

- Tak, a potem się obudziłeś...

- A to ich Karmi... - zachichotały obie.

Chris nie otwierał oczu, ale i tak wiedział, co teraz pokazują. Pomyślał, że dzień, w którym ktoś przegada Jill będzie dniem końca świata.

- Jedenasta czterdzieści dziewięć, trzy cele w odległości dziewięćset osiemdziesiąt pięć - zameldował Leon, ucinając śmiechy.

- W tym tempie nie wejda w połę rażenia nawet za pół godziny - powiedziała Rebecca.

Zależy w czyje - pomyślał Chris, ale nadal rozkoszował się dymem z papierosa. Starł się dozować tę przyjemność podczas patroli, zwłaszcza od momentu, gdy cena paczki oryginalnych Marlboro sięgnęła przelicznika tysiąca dolarów.

- Sluchajcie - zagadnęła tymczasem Jill - co robimy wieczorem? Podobno na tej angielskiej łodzi podwodnej, która zawinęła wczoraj do portu mają zajębiśta widoczkę.

- Podobnie mają nawet Epizod III - dodała Rebecca.

- Nie było tego na DVD - natychmiast skontrolował Barry.

- Normalnie nie było - zgodziła się brunetka - ale dla wojska zawsze robili kopie co lepszych filmów, pamiętam, że Epizod I wyświetlano w amerykańskich koszarach w Jugosławii równo z premierą, a może nawet wcześniej...

- Pieprzenie. Tam byli Amerykanie, a to zwykli Angole...

- Tak słyszałam - broniła się Rebecca - i to od kogoś naprawdę poważnego. Daję słowo.

- I tak się nie załapiemy - powiedział Barry, on zawsze wszystko czarno widział. - Pewnie bereciarze już wszystko rozdrapali.

- Gówno prawda - zaprzeczyła Jill. - Jeden z angolskich oficerów mówił, że nie wydają oryginalnych płyt, tylko robią dla każdego chętnego kopie.

- Pieprzeni piraci, przez nich to wszystko - mruknął z góry Leon, a gdy ucichł śmiech, dodał. - Jedenasta pięćdziesiąt trzy, trzy cele w odległości dziewięćset czterdzieści.

- Kurwagone, siedem minut... - jęknął Barry. - Chris, to chyba będzie robota dla ciebie.

Kierowca nie drgnął nawet.

- Chris, śpisz, czy co? - grubas podniósł nieco głos. - Nie, nie śpię...

- To dlaczego nie odpowiadasz?

- A muszę? - Kierowca przeciągnął się i spojrzał na kratownicę rozłożoną na plandecie. - Dlaczego ja zawsze muszę odwalać za was robotę?

- Bo masz najlepszy sprzęt - warknęła wyraźnie rozzłoszczona Jill, siadając i nakładając zasłepki na lunetę. - Moim PSG1 mogę z tej odległości co najwyżej postraszyć ptaszki.

- Przesada - Chris schylił się po futerał i wyjął swój karabin na dach kabiny.

- Dwieście metrów poza maksymalny zasięg to przesada?

- zachnęła się blondynka.

- Zakład? - zapytał, wyjmując z futerału swojego M40A1.

- Nie - popatrzyła na niego z wyrzutem, pamiętała jeszcze jak miesiąc wcześniej założyli się, że trafi z jej karabinu w środek tarczy z odległości ośmiuset pięćdziesięciu metrów. Rzecz niemal niewykonalna nawet dla dobrego strzelca, a jednak jemu się udało. I to już za drugim strzałem. Straciła przy tamtym zakładzie tygodniówkę i coś jeszcze, ale to drugie nie było tak bolesne jak utrata ciężko zarobionych pieniędzy. Prawdę mówiąc chyba nawet na tym trochę skorzystała, bo nie skończyło się tylko na dokładnie tym szczególe...

- Załóż się - szepnęła Rebecca. - To ponad dziewięćset metrów. Nie ma wafla, żeby trafił...

- Sama się załóż... - odparowała blondynka, już nie tak cicho, i zupełnie odruchowo splunęła po raz kolejny, wywołując jedynie śmiech mężczyzny.

- Nie będzie żadnych zakładów, dzisiaj nie ma na to czasu

- powiedział Chris i stanął pod masztem. Załadował trzy naboje, ale po chwili namysłu dolożył jeszcze jeden. Sytuacja nie należała do typowych, a on był perfekcjonistą i zawsze się zabezpieczał.

- Chris, popatrz na drogę - słowa z bocianiego gniazda padły w momencie, gdy przeladowywał broń.

Podniósł wzrok i zobaczył chmurę kurzu na wzgórzu po przeciwnej stronie doliny.

- Czas, Leonie...

- Pięć minut do dwunastej.

- Odległość?

- Dziewięćset dwadzieścia metrów.

Przyłożył karabin do ramienia i wyregulował ostrość w lunecie. Maksymalny zasięg strzału tego modelu wynosił tysiąc jardów, czyli dziewięćset czterdzieści metrów, ale to dotyczyło przeciętnych użytkowników tej wspaniałej broni. Chris nigdy nie należał do Korpusu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, ale mógł iść w zawody z każdym strzelcem wyborowym tej formacji, zwłaszcza mając w rękę swojego M40A1 składanego od lat siedemdziesiątych na specjalne zamówienia armii amerykańskiej w Quantico, przez zespół najlepszych fachowców w branży. Nigdy nie zdradził skąd ma swój egzemplarz karabinu będącego prawdziwą legendą nie tylko na tym odludziu. Wielu najemników miało broń podobnej klasy; choćby Leon. Gdyby ten narwaniec naprawdę czuł swojego Dragunova mógłby być naprawdę trudnym przeciwnikiem, ale na razie nie potrafił opanować emocji i to go gubiło. Nikt w służbie czynnej nie potrafił pokonać Chrisa na naprawdę dużym dystansie.

Bo do precyzyjnego strzelania nie wystarczy trening, do tego trzeba się urodzić...

- Cztery minuty...

Cele pojawiły się w zasięgu wzroku. Jeszcze tylko drobna regulacja luncy i już widział je dokładnie; ubrana w sprane jeansy i resztki Tee-shirta kobieta, w wieku może trzydziestu lat i dwie dziewczynki, chyba bliźniaczki albo niewiele różniące się wiekiem siostry.

Mogły mieć po sześć, siedem lat, ledwie wystawały ponad żółknietą trawę. Przesunął celownikiem po wszystkich celach, wybrał dziewczynkę idącą najdalej po prawej. Przymierzył. Przyglądał się, jak mocno odchyła się przy każdym kroku.

- Trzy minuty... - powiedział nieco głośniejszym głosem Leon.

- Zamknij się... Prawy cel - syknął Chris i sprawdził kierunek wiatru. Żdźbła przy celach gięły się na prawo... niezbyt mocno. Wstrzymał oddech i powoli naciskał spust. Głośnie klaśnięcie oznajmiło wszystkim, że nabój opuścił lufę. Siła odrzutu, wprawdzie niewielka sprawiła, że stracił ciele na moment z pola widzenia.

- Potwierdzone trafienie - zameldował Leon. - Lewe oko. Z tyłu ktoś mlasnął z podziwu, ktoś inny gwizdnął, chyba

Jill, ale nie zwracał na to uwagi. Namierzył drugie dziecko. Rudawe, kręcone włosy wystające spod czapki zawirowały w celowniku na mocniejszym wietrze... Wziął poprawkę.

- Potwierdzone trafienie - krzyknął Leon ledwie przebrzmiał huk kolejnego wystrzału. - Sam środek czola.

- Szlag - zaklął pod nosem Chris. Mierzył w oko, jak poprzednio. Na domiar złego fala potu przedostała się właśnie przez tamę bandany.

- Minuta do dwunastej! - ponaglił go Leon a narastający warkot silnika podkreślił wagę jego słów.

Musiał jednak przetrzeć oczy. Pot gryzł niemilosiermię. Opuścił karabin i nie zdążył go już podnieść. Usłyszał echo kolejnego wystrzału zanim opuścił rękę sprzed twarzy. Charakterystyczny odgłos zdradził od razu, kto strzelał. Nie musiał się rozglądać.

- Leon, jeśli nie trafiles... - zaczął mówić z wyraźną groźbą w głosie.

- Spoko, jeden strzał jedna śmierć - odparł zadowolony z siebie blondyn. - Andzia fiknęła jakby tańczyła rock and rolla.

Chris popatrzył na niego z dezaprobatą.

- Zostało piętnaście sekund a ty... - zaczął się tłumaczyć Leon, ale umilkł, widząc wyraz twarzy przelozonego.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedział Chris przez zaciśnięte zęby, ale wszyscy wiedzieli, że to bardziej pokazówka niż faktyczny opieprz. Leon zaryzykował w ostatniej chwili i zdobył ważny punkt dla ich drużyny. Punkt, który mógł im uciec...

Chris wyjął ostatni nabój z komory i włożył go w wolne miejsce na pasie. Zeskoczył na maskę Landrowera, potem na szutr i stanął przed trzema obciętymi na krótko dryblasami w nowiutkich jeansach i kowbojskich koszulach. Dwaj stojący z tyłu wyglądali jak wyhodowani na sterydach bliźniacy.

- Jak się macie, Polaczki - zapytał ten stojący na przedzie.

- Ujdzie, panie Crowley - odparł Chris, stając przed nimi ze skwaszoną miną i karabinem złożonym na zagięciu ręki w sposób, w jaki zwykli trzymać broń bohaterowie starych westernów.

- Robota na ostatnią sekundę - roześmiał się człowiek o nazwisku Crowley. - To się nigdy nie udaje.

Jego kompani zawtórowali mu jak złowieszce echo.

- Fakt - przyznał Chris. - Wam się to nigdy nie udało. Kowboje spowaznieli w ulamku sekundy. Brodacz stojący

za Crowleyem wyjął GPSa zza paska i natychmiast splunął pod nogi mamrocząc piętrowe przekleństwa.

- Trzy obiekty zneutralizowane, tysiąc jardów w głąb strefy, mniej więcej oczywiście - poinformował Leon z bocianiego gniazda, choć owo spluniecie mówiło dokładnie to samo.

- A co gorsza już po dwunastej - Jill położyła palec wskazujący na przegubie imitując zegar słoneczny. - Nasza zmiana skończona, a ktoś musi posprzątać to gówno - wskazała ruchem głowy na równinę.

- Życzę milego dnia, panie Crowley - Chris odwrócił się i mówiąc te słowa ruszył do szoferki. - Dzisiaj temperatura nie osiągnęła jeszcze pięćdziesięciu stopni w cieniu, da się wytrzymać kwadrans w kombinezonie bez ryzyka zawału. Zwłaszcza z miotaczem ognia w ręce...

Gdy zamykał drzwiczki, śmiech dobiegał tylko z góry.

Panorama Canberry widziana z górnych pięter biurowca należącego do Ministerstwa Obrony wyglądała niesamowicie. Zwłaszcza wieczorem. Morze światel, ruchliwe arterie, neony. Jakby świat nigdy nie oszalał.

Krzysztof siedział w fotelu w sekretariacie Wysokiego Komisarza do Spraw Ochrony Granicy, ale zamiast skupiać uwagę na wielce atrakcyjnych i niewątpliwie pięknych urzędniczkach, gapił się jak urzeczony przez panoramiczne okno wprost na centrum stolicy. Po trzech miesiącach na równinie widok ten działał na niego jak narkotyk.

- Mister Redfield - aksamitny głos godny ciała, z którego się wydobywał przywrócił go do realnego świata. Spojrzał mało przytomnie na sekretarkę komisarza.

- Tak?

- Zapraszam do gabinetu - powiedziała urocza rusalka i obdarzyła go boskim uśmiechem. - Komisarz Crowder czeka na pana.

Nie odpowiedział ani słowem, ani gestem. Wstał, poprawił koszulę i ruszył prosto do drzwi gabinetu, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia kobiet przyzwyczajonych do wiecznych umizgów i adoracji.

- Witam naszego najlepszego Cerbera - Wysoki Komisarz w rzeczywistości był niespełna półtorametrowym człowieczkiem o posturze wymizerowanego hobbita. No, może stopy miał mniejsze niż literacki pierwowzór, ale poza tym mógłby zagrać Bilba w filmowej wersji *Władcy Pierścieni* i to bez specjalnej charakteryzacji.

- Proszę spocząć - gospodarz wskazał na głęboki fotel stojący przed jego biurkiem.

- Dziękuję - Krzysztof uściśnął jego spoconą dłoń i usiadł na wskazanym miejscu. Wytarł rękę o spódnie ledwie Crowder odwrócił się, by przejść na swoje miejsce.

- Wybacz pan, panie komisarzu, ale niespełna dziesięć godzin temu skończyliśmy naszą zmianę - powiedział, gdy obaj już siedzieli. - Pańscy ludzie zabrali mnie i moich ludzi z granicy praktycznie z marszu. Tyle dobrego, że pozwolili nam się umyć i przebrać. Mam nadzieję, że wyjaśni mi pan powody tego pośpiechu... - zawiesił głos i spojrzał znacząco na urzędnika.

- W rzeczy samej, panie Redfield, w rzeczy samej. - Komisarz wyraźnie stracił rezon. - Przepraszam za formę zaproszenia, ale sam pan za chwilę zrozumie, że musiałem tak postąpić.

- Czy to ma związek z naszą umową? - zapytał Krzysztof.

- I tak i nie - odparł nieco enigmatycznie Crowder. - Proszę dać mi szansę, a wyjaśnię wszystko we właściwej kolejności.

- Nie ma sprawy - powiedział Krzysztof. - Zamieniam się w słuch.

Wysoki Komisarz uśmiechnął się przepraszająco i sięgnął po teczkę leżącą na blacie ogromnego mahoniowego biurka.

- Panie, hmm... Czerwiński, czy może raczej Redfield...

- Nazwiska Redfield używam tylko w Strefie - przerwał mu Krzysztof. - Ale proszę się nie krępować...

- Rozumiem - Crowder założył staromodne okulary i zniknął za tekturową zasłoną - Pan i pana ludzie jesteście najefektywniejszym zespołem likwidatorów jakich mamy pod swoją komendą. Potwierdzone trzy tysiące czterysta szesnaście eliminacji...

- Z dzisiejszymi trzy tysiące czterysta dwadzieścia siedem - Krzysztof poprawił komisarza.

- Bardzo możliwe, mam dane z Centrum, a tam zawsze są opóźnienia z odczytem dalmierzy. Ale przejdźmy do rzeczy. - Komisarz wstał i podszedł do drzwi znajdujących się z drugiej strony gabinetu. - Chciałbym panu coś pokazać...

Za drzwiami nie znajdowała się łazienka, ale kabina prywatnej windy komisarza. Krzysztof uśmiechnął się. Oto znalazł wyjaśnienie tajemnicy, w jaki sposób ten człowiek mógł pojawiać się i znikać z miejsca pracy mimo tłumu interesantów.

- Mam dla pana kilka wiadomości - powiedział Crowder ledwie drzwi kabiny zamknęły się za nimi. - I nie wszystkie są dobre...

- Jesteśmy za drodzy? - zapytał wprost Krzysztof. Obawiał się, że w końcu dojdzie do renegocjacji umowy, napór na granicę malął z każdym tygodniem.

- Też, ale nie zamierzam rozmawiać o redukcji wynagrodzenia choć, prawdę mówiąc, już dawno powinienem postawić tę kwestię...

- Jeśli nie o pieniądze chodzi, to o co?

Komisarz zadarł głowę, by spojrzeć prosto w oczy mężczyźnie wyższemu od niego o dwie głowy.

- Wasza praca, panie Czerwiński - powiedział kilka sekund później krzywiąc się jakby zjadał właśnie połówkę cytryny albo zapil wódkę spirytusem - jakkolwiek wkładacie w nią wiele serca, może okazać się bezcelowa...

- O czym pan mówi? - zdziwił się Krzysztof. - System się sprawdza. Od trzech miesięcy przez strefę nie przedostał się nawet...

- Wiem, wiem, że to prawda - przerwał mu komisarz, chwytając go spoconą dłonią za lokice. - Proszę za mną.

Właśnie dojechali na miejsce, czymkolwiek ono było. Krzysztof spodziewał się, że wysiądą na zastrzeżonym piętrze parkingu, ale czekała go niespodzianka. Za drzwiami windy znajdował się jasno oświetlony krótki korytarz. Na jego końcu, obok kolejnych drzwi znajdował się niewielki stolik ze skanerem siatkówki oka, a za nim dwóch uzbrojonych po zęby strażników.

Komisarz przeszedł procedurę identyfikacji i wpisał się do książki wizyt. Krzysztof w tym czasie został sprawdzony wykrywaczami metalu przez jednego z wartowników. Musiał zostawić na punkcie kontrolnym zapalniczkę benzynową i składany scyzoryk szwajcarski, z którym praktycznie nigdy się nie rozstawał. Dopiero potem pozwolono mu przejść za z pozoru normalne drzwi, które po otwarciu okazały się fasadą dla grubych na metr stalowych wrót, prowadzących do znacznie szerszego, lukowato sklepionego tunelu. Tutaj czekał na nich elektryczny wózek, stary sprawdzony na wielu polach golfowych Melex. Usiedli na miejscach pasażerów bez słowa i ruszyli w głąb rzęsiście oświetlonego korytarza.

- Proszę się nie dziwić tym środkom ostrożności - powiedział komisarz. - sprawa jest poważna.

Krzysztof nie wątpił, że chodzi o coś naprawdę ważnego. Wiedza o tym obiekcie była zastrzeżona dla nielicznego grona zaufanych ludzi. Fakt, że przez tyle miesięcy współpracy z miejscowymi nie o nim nie wiedział świadczył jak najlepiej o systemie ochrony. A przecież Jill niejedno wyniuchala, o ile jej metodę można było nazwać niuchaniem...

Zatrzymali się chwilę później przy bocznej, znacznie węższej odnodze tunelu. Komisarz wysiadł pierwszy i nie czekając zniknął w jej wylocie. Krzysztof szybko poszedł w jego ślady.

- Proszę wybaczyć, że narażam pańską cierpliwość na szwank - powiedział Crowder, gdy minęli następny punkt kontrolny - ale może mi pan wierzyć, że ci ludzie nie mają pojęcia co znajduje się w tej części kompleksu i wolalby, aby pozostali w swojej niewiedzy.

Krzysztof uśmiechnął się, nie na dźwięk tych słów, ale na widok znajomego symbolu, który zdobił kolejne drzwi. Koncentryczne, przenikające się kręgi i krwistoczerwony napis Biohazard mówiły wiele o przeznaczeniu tego miejsca. Podobnie jak kombinezony, które musieli włożyć w służbę.

- To tylko formalność - zapewnił go komisarz. - Na poziomie czwartym wszyscy musimy je nosić.

Weszli do pomieszczenia, które wyglądało jak ultranowoczesne laboratorium. Crowder od razu skierował się do przeszklonej części, z której mieli widok na leżącą piętro niżej, znacznie większą salę. Część z niej podzielona była na hermetycznie zamknięte boksy. W nich...

- Poszaleliście? - krzyknął Krzysztof tak głośno, że zwrócił na siebie uwagę wszystkich pracujących w laboratorium naukowców. - Jeśli ludzie dowiedzą się, że sprowadziliście tutaj nosicieli...

- Spokojnie, panie Redfield, proszę - komisarz podniósł do góry obie ręce w obronnym geście. - Problem w tym, że wcale nie sprowadzaliśmy...

-To skąd oni...

- Robimy okresowe badania wszystkim mieszkańcom strefy bezpieczeństwa. Co cztery dni pobierane są próbki krwi do analizy. Zresztą zna pan to prawo, sami musicie się poddać badaniom chcąc wjechać do Canberry, czy innego miasta...

Krzysztof skinął głową, dwie godziny temu przeszedł taki test na obecność wirusa.

- To - komisarz wskazał na boksy z pleksiglasu, po których snuły się widmowe, wychudzone postacie ludzkie - nasi obywatele. Pierwszego nosiciela wykryliśmy dwa tygodnie temu, do dzisiaj jest ich już siedemnastu...

- Ale, jak...? - Krzysztof nie mógł uwierzyć w to, co widział. Ale oczy go nie zawodziły. Szara, niszcząca się skóra, pęcherze, z których sączyła się ropa zmieszana z krwią, pusty wzrok i usta toczące ślinę... I ten krok, sztywno nogi jak u kukiel...

- Nie mamy pojęcia... Wedle wszystkich informacji, jakie posiadamy, wirus może być przenoszony tylko przez bezpośredni kontakt z płynami ustrojowymi nosiciela. Oni od miesięcy nie opuszczali rejonu zamieszkania, nie mieli też żadnych kontaktów z ludźmi pracującymi w strefie. Zanim zamienili się w, jak wy to mówicie zombie, zdążyliśmy ich dokładnie wypytać. Sprawdziliśmy też ich domy, rodziny, całe otoczenie... Coś rozsiewa zarazę już w dwóch miastach wewnątrz strefy bezpieczeństwa i mimo ogromnych wysiłków oraz zaawansowanych badań nadal nie wiemy, co to jest!

- Ptaki, szczury... - mruknął Krzysztof. - Sprawdzaliśmy, to nie jest tak, jak w tej waszej grze... -

komisarz próbował sobie przypomnieć tytuł gry o której wspomniał, ale nie potrafił, a Krzysztof nie zamierzał mu w tym pomagać. - Zwierzęta nie chorują i nie przenoszą wirusów, nawet jeśli miały bezpośredni kontakt z nosicielem.

- Nie widzę innej możliwości...

- Ja też, ale jak się okazuje, ona istnieje. - Komisarz pociągnął Krzysztofa za rękaw kombinezonu w kierunku schodów umieszczonych z boku galerijki. Zeszli nimi na dolny poziom.

- Nie powiedziałem panu jeszcze najważniejszego... - przewodnik zniżył głos gdy znaleźli się między

potrzebne nam urządzenia, ale to naukowcy, nie żołnierze.. To nie będzie wycieczka krajoznawcza, panie Redfield. To może być coś znacznie gorszego niż scenariusz tej waszej gry. Nawet w wersji hard... - zamilkł na moment, zapewne znów próbował przypomnieć sobie w co z taką pasją grali likwidatorzy. - Niestety nie mamy alternatywy. Możemy wycofać się na Tasmanię, a potem to już tylko Antarktyda, ale doskonale pan wie, że nie uciekniemy przed przeznaczeniem - wskazał głową na boksy - ...Pan jest jednym z niewielu ludzi, którzy mogą podolać trudom tej wyprawy, panie Redfield.

Krzysztof popatrzył mu prosto w oczy.

- Ta gra, której tytułu nie może pan sobie przypomnieć, to *Resident Evil* - powiedział.

Smukły kiosk atomowej łodzi podwodnej wznosił się wysoko ponad fale, ale nawet tutaj docierały niesione silnym wiatrem krople. Krzysztof zapiął suwak sztormiaka do końca i poprawił gogle. Starał się, o ile to było możliwe, wychodzić z dusznego wnętrza podwodnego krążownika. W odróżnieniu od reszty zespołu czuł się naprawdę źle w ciasnych, pozbawionych okien pomieszczeniach. Lekarz pokładowy twierdził, że to może być klaustrofobia. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że może na nią cierpieć, choć jak pamiętał, w samolotach miał stany lękowe... Jednak po jedenastym wrześniu przypisywano to zupełnie innym czynnikom.

W każdym razie wykorzystywał każdą możliwość, by być tutaj, na wąskim metalowym pomoście, wysoko nad poziomem wody, i cieszyć się nicograniczoną przestrzenią. Nawet jeśli pogoda była wybitnie sztormowa, jak dzisiaj.

- Nie przeszkadzam?

Krzysztof drgnął słysząc głos za swoimi plecami. W tym wszechogarniającym szumie nie usłyszał, że ktoś jeszcze wychodzi na pomost. Spojrzał na postawną sylwetkę w identycznym, ale lekko rozpiętym sztormiaku.

- Nie, kapitanie Morris, w żadnym razie - odpowiedział i ponownie oparł się o nadbudówkę.

- Wie pan, panie Redfield, jesteśmy już blisko celu. Jeszcze doba, może trochę więcej, jeśli nie przestanie wiać i przesiądziecie się do waszej amfibii - zagaił rozmowę dowódca łodzi, stając obok.

- Każda przyjemność musi mieć kiedyś koniec.

- Dokładnie - kapitan przygryzał wargę. Widać było, że coś go dręczy.

- Proszę walić prosto z mostu - zachęcił go Krzysztof.

- To nie takiego, po prostu zastanawiałem się, jak to z wami jest.

- Z nami, czyli z kim? - zapytał Czerwiński.

- No, z likwidatorami...

- A co z nami nie tak?

- Nie mówię, że coś jest nie tak - Morris najwyraźniej nie potrafił zadać właściwego pytania, a Krzysztof wcale się temu nie dziwił. Większość ludzi, z którymi miał styczność, traktowała go jak wybryk natury. Może zresztą był takim wybrykiem.

- Powiedziałem, wal pan prosto z mostu...

- Tak, słusznie - dowódca łodzi podwodnej zebrał się w sobie. - Kiedyś zastanawiałem się, czy potrafiłbym zastrzelić zarażonego... I nie mam takiej pewności... Może, gdyby to był mężczyzna...

- A jaka to różnica?

- No wie pan, dziecko albo kobieta...

- Przecież oni już od dawna nie żyją, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą - Krzysztof starał się obrócić wszystko w żart.

- To nie tak - kapitan jednak traktował tę kwestię naprawdę serio. - Z tego, co zdążyłem zaobserwować, was to bawi...

- Wcale nie - Krzysztof nagle spoważniał.

- Ale tak to wygląda... Te zawody na punkty, i ta gra...

- Pozory mylą, kapitanie Morris - przerwał mu Czerwiński, znany w kręgu likwidatorów jako Redfield.

- Myśli pan, że jesteśmy pozbawionymi uczuć robotami? Takimi Terminatorami? Zapewniam, że nie. Ta gra to nasza ucieczka od rzeczywistości. Chce pan wiedzieć jak to jest kiedy widzi się w celowniku twarz dziecka. Siłą, poznaną śladami choroby ale nadal rozpoznawalną? Powiem panu, czuje się pan jak kawał gówna rzuconego w wentylator, tak to się mówi, prawda?

Morris patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami. Nic nie mówił, nawet nie kiwał głową. Krzysztof odwrócił twarz w kierunku niknącego pod kolejną falą oblego dziobu i poczuł na odsłoniętych policzkach miriady zimnych ukłuć w miejscach, gdzie drobiny słonej wody stykały się ze skórą.

- *Resident Evil* to gra, zabawa, w której wiele lat temu pewien Japończyk, Shinji Mikami, przedstawił realia świata, jaki dzisiaj znamy. My traktujemy to wszystko, jak przedłużenie gry, nie dlatego, że jesteśmy szaleni, ale żeby nie zwariować... Stąd te pseudonimy, punkty, stroje...

- Rozumiem - mruknął Morris. - Przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem.

- Mogę zrewanżować się pytaniem? - zapytał Krzysztof.

- Jasne.

- A co pan czuje w sytuacjach, gdy za chwilę może przyjść rozkaz odpalenia tych wszystkich rakiet? - Czerwiński wskazał na szeroki pokład łodzi poznaczony okrągłymi włazami wyrzutni pocisków balistycznych.

- Modłę się, by to nie nastąpiło... - powiedział niezbyt pewnie Morris.

- A gdyby jednak wydano taki rozkaz?

- Wykonałbym go...

- Zabijając miliony takich dzieci, kobiet, starców... Tysiące razy więcej, niż my wyeliminowaliśmy. I to w jednej chwili.

- Ale... to coś zupełnie innego... wojna... - szepnął dowódca łodzi.

- Słucham? - Krzysztof odczytał już słowa z ruchu warg, ale chciał, by Morris powiedział je na głos.

- Ja tylko wykonywałbym rozkaz - kapitan wypowiedział te słowa już głośniej, ale nadal zbyt cicho.

- Wie pan, kto się kiedyś zaslaniał za takim wytłumaczeniem?

- Nie...

- I niech tak zostanie... Jedyna różnica między nami polega na tym, że pan nie widziałby w celowniku twarzy palonych żywcem ludzi - powiedział Krzysztof.

- Jak pan widzi, kapitanie każdy ma swoje usprawiedliwienia dla czynów, które normalnie wydawałyby się odrażające. My uciekamy w świat wirtualny, pan tłumaczy się rozkazami, ale efekt Jest ten sam. Niesiemy śmierć. Dajmy temu spokój...

- Słusznie - Morris próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to blado. - Co pan tam trzyma w ręku? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Wiadomość... - Krzysztof machnął zafoliowaną kartką papieru.

- Od kobiety?

- Można tak powiedzieć...

- Ładna? - ożywił się Morris zadowolony, że rozmowa zesła z drażliwego dla nich obu tematu. - Żona, narzeczona, kochanka?

- Córka - Krzysztof zamknął oczy, zacisnął pięści, mnąc przy tym róg trzymanej kartki, ale odpowiedział w miarę spokojnym głosem. - Kiedy widziałem ją ostatni raz miała siedem lat i trzy dni... Leżała na podłodze w swoim pokoju, obok biurka na którym leżały kredki i ten niedokończony rysunek... Jej własna matka... - zamilkł, przelitykając łzy i pokazał kartkę na której dziecięca ręka narysowała trzy postacie trzymające się za ręce. W wielu miejscach widać było rdzawe plamy, jakie mogła zostawić tylko krew. Czerwiński za nic nie mógłby opisać sceny jaka rozegrała się ledwie sześć miesięcy wcześniej w jego domu, w niewielkiej podwarszawskiej miejscowości...

Siedzieli od godziny stłoczeni w ładowni amfibii między kontenerami z żywnością i sprzętem. Cały Alfa Team, dwóch naukowców przydzielonych do tej misji przez Crowdera i wyniosły oficer angielskich sił specjalnych, którego od razu nazwali Weskerem. Nawet był trochę podobny: jasne, krótko przyszczyżone włosy i ten lekceważący uśmiešek... Jedyny przedstawiciel australijskich sił zbrojnych przebywał teraz w kabinie kierowcy, tylko on - mieli taką gorącą nadzieję - potrafił doprowadzić tę maszynę do brzegu. Doktorzy Brimstone i Hargrove trzymali się na początku rejsu z daleka od ludzi Krzysztofa. Wiedział, że się ich boją,

ale nie dziwiło go to specjalnie. Dla typowych gryziopiórków każdy, kto umie odbezpieczyć broń jest już kwalifikowanym zabójcą. Niemniej z upływem czasu jajogłowi przyzwyczaili się do obecności likwidatorów, choć nadal woleli własne towarzystwo. Obaj mieli grubo ponad pięćdziesiąt lat, byli więcej niż szczupli i nosili identyczne okulary. Z daleka można było wziąć ich za braci, ale przy bliższym poznaniu widać było znaczące różnice, tak w wyglądzie jak i w charakterze. Natomiast o oficerze, prócz jego nazwiska i stopnia niewiele mogli powiedzieć. Pułkownik Harvey Desmond, zwany też Weskerem, od momentu zaokrętowania pojawił się może ze dwa razy, tylko na odprawach, na których omawiali szczegóły akcji. Morris powiedział im, że Anglik poprosił go o kabinę w zupełnie innej sekcji łodzi i spędzał w niej bądź na silowni większość czasu. Jego zadanie polegało na wprowadzeniu ich do kompleksu. Podobno pracował w ochronie innej placówki tego typu. I to było wszystko, co o nim wiedzieli. Za to sierżant, którego przydzielono im do obsługi pojazdu był dla wszystkich wręcz przyjacielem. Korpulentny Ronald Najima, człowiek, o nalanej wiecznie uśmiechniętej twarzy z charakterystycznymi skośnymi oczyma, potomek japońskich emigrantów, nie stronił od towarzystwa. Zwłaszcza Jill i Rebecca znajdowały się w kręgu jego zainteresowań, był ich najwdzięczniejszym słuchaczem i trenerem. Mimo niepozornego wyglądu i sporej tuszy miał za sobą prawie trzydzieści lat treningów i któryś tam stopień mistrzowski w jednej z tradycyjnych odmian karate. Rozkładał każdego, nawet Leona, który do tej pory miał się za dobrego fightera, w niecałe pięć sekund. Dziewczyny znalazły jednak sposób, jak powetować sobie te porażki. Choć starał się dotrzymać im kroku w picciu, tutaj był z góry skazany na przegraną. Geny japońskich przodków pozwalały mu najwyżej na odkorkowanie butelki whisky zanim odplynął w nirwanę. Nie zrażał się tym jednak i godzinami przesiadywał w mesie oficerskiej, którą załoga odstępowała zespołowi na wyłączność. Polubili go szczerze, w czasie tych kilku tygodni rejsu, chyba jako jedyny nie okazywał żadnych uprzedzeń wobec likwidatorów. Teraz był ich jedyną nadzieją na przeżycie, z czego zdawał sobie doskonale sprawę.

- Banzai! - ryknął nagle Najima przez wewnętrzne głośniki.

- Co on powiedział? - zapytała Jill.

- To taki japoński okrzyk tryumfu - wyjaśnił natychmiast Brimstone.

- Dokładnie rzecz biorąc to znaczy: niech żyje! - uściślił Hargrove, zawsze poprawiał swojego kolegę. Jeśli mógł. I zawsze był poprawiany.

Dziewczyny obok których siedzieli naukowcy roześmiał się w głos.

- Ale jak to przełożyć na aktualną sytuację? - zapytała prowokująco Jill.

- Nie mam pojęcia - mruknął Brimstone.

- A mnie wydaje się, że nasz szanowny kolega kierowca zlokalizował miejsce lądowania - natychmiast dodał Hargrowe.

I chyba miał rację, dosłownie minutę później poczuli mocny wstrząs gdy gasienice amfibii trafiły na twarde gruntu. Byli na brzegu. Światelko na ścianie oddzielającej kabinę kierowcy od ładowni zmieniło barwę z czerwonej na zieloną.

Krzysztof jako pierwszy odpiął uprząż, która trzymała go w fotelu i wstał chwytając się poręczy. To uchroniło go przed upadkiem, gdy amfibia nagle wyhamowała i ostro skręciła. Silnik zawył na wysokich obrotach a potem nagle umilkł.

- Co jest? - Rebecca pierwsza dorwała się do interkomu.

- Nic takiego - odpowiedział natychmiast Najima. - Otrzymałem rozkaz, by zameldować kapitanowi Morrisowi, że dotarliśmy do brzegu.

- Nie umiesz tego zrobić podczas jazdy? - zapytała rozdrażniona Jill, której nagły manewr rozsypał niemal całą paczkę suszonej wołowiny.

- Przykro mi, Jill, ale nie potrafię. Ten złom wymaga użycia obu rąk - to zdanie zapewne odnosiło się do radiostacji zamontowanej na amfibii.

- Na drugi raz uprzedzaj przed takimi manewrami - Krzysztof dorzucił bez przekonania swoją uwagę ale interkom już się nie odezwał.

- Witam na terytorium Zjednoczonego Królestwa - powiedział Barry naśladowując oficjalny ton urzędników z Foreign Office. - Proszę przygotować paszporty do kontroli.

- Wal się na ryj - odpowiedziała mu po polsku Jill zbierająca co większe kawałki mięsa z zakurzonej podłogi.

- Dokładnie - poparła ją koleżanka, klepiąc się po przypiętej do pasa kaburze. - Moja wiza ma dziewięć milimetrów i nie zamierza pozostać na tej przeklętej przez Boga i ludzi ziemi dłużej niż to konieczne.

- No to jesteśmy już po odprawie - mruknął Leon ze swojego fotela nie otwierając oczu.

Jedynym, który się nie uśmiechnął był Wesker.

Zatrzymali się na skraju niewielkiej wioski. Do zmroku pozostała jeszcze godzina, a znajdowali się nie dalej niż o sześć mil od Brentwood, gdzie według mapy Crowdera mieściło się centrum badawcze imienia Ballarda, cel ich podróży. Najima spojrzal na Krzysztofa i powiedział: - Nie ma sensu pchać się dalej o tej porze. Jedziemy już ponad osiem godzin, nie licząc czasu potrzebnego na dostanie się na brzeg. Przenocujmy tutaj, dookoła jest sporo otwartej przestrzeni, łatwo się obronić. Skoro świt ruszymy i do południa, jeśli nasz spec wart jest swojej reputacji, będziemy wewnątrz kompleksu.

- Jak chcesz - Czerwiński też był już zmęczony i marzył o chwili ciszy.

- Ty tu jesteś szefem - powiedział kierowca uśmiechając się szelmowsko. - Ty decydujesz.

- Doprawdy? - Krzysztof popatrzył na niego dziwnie. - To wieź nas do Londynu. Mam ochotę przenocować w Fucking-ham Palace.

- Gdzie? - zdziwił się Najima.

- To był żart - wyjaśnił Krzysztof. - Taka gra słów.

- Fuckingham, a to dobre - roześmiał się sierżant. - Trzydzieści pięć lat tu mieszkalem, a nie slyszalem tego określenia.

- Bo nie przebywales w towarzystwie Polaków.

- Dziękuję za to Bogu - Ronald przeżegnał się ostentacyjnie. - Kim bym dzisiaj był, gdybym spotkał waszą nację wcześniej?

- Kim Dżong Ilem? - powiedział Krzysztof z niewinnym uśmiechem.

Najima zastanawiał się przez chwilę, po czym zawtórował mu swoim rechotem.

- Gra słów, gra słów, wiem, wiem... - wybelkotał przez zły. - Ech, wy Polacy, nie tylko żartujecie.

Coś musimy robić, jak nie ma z kim wypić... To był cios poniżej pasa, skośnooki kierowca nachmurzył się i prychnął coś po japońsku.

- I ja cię pozdrawiam, przyjacielu - odpowiedział Krzysztof, otwierając opancerzone drzwi kabiny.

Wieczór przyniósł chłód, jakiego już dawno nie czuł. Tam, na kiosku łodzi podwodnej, w podgrzewanej odzieży czuł zimno tylko na odsłoniętych policzkach, tutaj wiatr owiewał całe ciało. Australia o tej porze roku była rozpalona słońcem, nawet późnym wieczorem człowiek sypiał potem. Tutaj natomiast, mimo iż słońce było jeszcze dość wysoko, czuł orzeźwiający podmuchy wiatru. I zapach świeżej, mokrej trawy, coś, o czym już dawno zapomniał. Wciągnął powietrze nosem i ruszył w kierunku ładowni pojazdu. Doszedł do krawca burty i instynktownie podrzucił gotową do strzału broń.

- Spokojnie, mistrzu - powiedziała przeciągająca się właśnie Jill - to tylko ja...

- A gdybym był nosicielem?

- To już byś nie żył - wskazała palcem na odbezpieczonego Visa, którego trzymała w prawej dłoni.

- Zawsze gotowa...

- Jak mawiała poetka: zbrójcie się chłopcy, zbrójcie się dziewczyny, bo nie znacie dnia ani godziny...

Krzysztof pokręcił głową i uśmiechnął się.

Prawie jak w domu, prawda? - powiedziała Jill, opuszczając ręce.

Przytaknął, oparł się o burtę amfibii i wyjął paczkę papierosów.

- Masz rację, Jolu - przyznał, mimowolnie używając jej prawdziwego imienia.

Widoczne w oddali domy, za nimi pola i niewielki lasek sprawiały naprawdę sielskie wrażenie. Jakby kataklizm nigdy nie dotknął tego miejsca. A jednak po bliższym przyjrzeniu dawało się zauważyć różnice. Żaden pies nie ujadł, nikt nie kręcił się wokół domów,

na szosie nie było nawet jednego samochodu. Tylko nieliczne ptaki krążyły nad drzewami.

- Może przenocujemy poza amfibią? - zapytała z wnętrza wozu Rebecca.

Rozejrział się raz jeszcze.

- W sumie moglibyśmy... Wątpię, by tu jeszcze byli jacyś nosiciele...

Jolka pokręciła głową.

Ja tam nie zamierzam wystawiać głowy poza pancierz, nie będę robić za przystawkę do kolacji - powiedziała i obróciła się na pięcie. Wchodząc do wnętrza amfibii, zręcznym ruchem schowała pistolet do kabury.

Krzysztof obudził się bladym świtem, dosłownie pięć minut przed planowaną pobudką. Plecy bolały go jak cholera od nierówności fotela. Otworzył oczy, ale w panujących ciemnościach niewiele zobaczył. Najima opuścił w nocy pancerne osłony na wszystkie okna. Dzięki temu do wnętrza nie docierało wycie wiatru, który zerwał się tuż po pomocy, i światło pierwszych promieni przedświt. Czerwiński poszukał po omacku dźwignenkę podnoszącą osłonę z jego strony. Pociągnął pierwszą, ale pancerna płyta jedynie drgnęła i opadła z niezbyt głośnym hukiem na swoje miejsce.

- Co jest? - zapytał niezbyt przytomnie wytrącony ze snu Najima.

- Nie mogę podnieść osłony.

- Dziwne - mruknął sierżant. - Wczoraj chodziły jak ta lala.

Przechylił się na stronę Krzysztofa i sam spróbował, z podobnym efektem.

- Może wyjdę i odciągnę ją z zewnątrz - zaproponował Czerwiński.

- A po co? - kierowca uśmiechnął się i zaczął gmerać na jednym z paneli. - Mamy hydrauliczny system podnoszenia osłon.

Nacisnął niebieski przełącznik i usłyszeli cichy szum, a sekundę później wszystkie osłony ruszyły szybko w górę. Zmrużyli oczy, by przyzwyczaić się do światła, ale wcale nie było tak jasno jak się spodziewali.

- Kurwa mać - jęknął Krzysztof odruchowo wspinając się na fotel. Prawa ręka błądziła przy pasku, szukając kabury.

Na masce pojazdu widać było co najmniej kilkunastu nosicieli. Wyglądali okropnie, znacznie gorzej niż ci, których eliminowali na granicy. Brak rąk, często innych części ciała, zniekształcone, niemal z mumifikowane twarze, odchodzące od kości wyschnięte mięśnie... Z boku amfibii też nie było lepiej. Najima, który chyba pierwszy raz znalazł się tak blisko ofiar zarazy, zaczął panicznie krzyczeć. To otrzeźwiło Krzysztofa. Wcisnął przycisk alarmowy, modląc się, by nikt nie próbował wyjść z ładowni.

- Jedź! - krzyknął do Najimy a gdy to nie poskutkowało, szarpnął go mocno za ramię. Nie przewidział jednego, że mistrz sztuk walki reaguje

instynktownie w każdej sytuacji. Nawet się nie zorientował, kiedy wylądował twarzą na kolumnie kierownicy a wykręcona ręka bolała jak szlag, i to w każdym stawie. Krzysztof zawył z bólu. Nagle nacisk na nadgarstek ustal.

- Wybacz - Najima podniósł go i zaczął przeproszać. - Nie zdawałem sobie sprawy...

- Daj spokój, człowieku - jęknął Krzysztof, wracając na swoje miejsce. - Jedź, po prostu jedź! I pokaż mi jak się obsługuje interkom...

Najima podał mu mikrofon i pałąk słuchawek, nie musiał nic więcej wyjaśniać, zestaw działał jak klasyczna radiostacja, potem odpalił silnik, ale nie ruszył.

- Co jest? - zapytał Czerwiński, zapominając że ma już wciśnięty przycisk nadawania.

- Mam jechać... po nich? - odpowiedział pytaniem na pytanie sierżant.

- A widzisz jakiś inny sposób?

Amfibia ruszyła, ale zatrzymała się, gdy leżące na masce ciała zaczęły znikać z pola widzenia...

- Jedź człowieku, jedź! To nie są żywi ludzie!

Najima nie zareagował, zbladł i trząsł się jak w febrze. Krzysztof przysunął się bliżej, ale nie dotykał sierżanta, bark nadal palił go żywym ogniem. Za to przelożył nogę nad osłoną wału i wcisnął gaz do dechy. Silnik zawył na wysokich obrotach, ale pojazd nie ruszył. Kierowca trzymał wciśnięte sprzęgło. Jedno szybkie kopnięcie zepchnęło jego stopę z wąskiego pedału i amfibia wyrwała do przodu. Wszyscy nosiciele z maski zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zanim wóz ponownie się zatrzymał, Krzysztof wcisnął ponownie gaz. Przed sobą mieli już tylko pustą drogę i kilka czolgających się, okaleczonych postaci.

Najima nie zatrzymał się przy żeliwnej bramie prowadzącej na teren ośrodka, po prostu przejechali przez nią wyrывая kraty z zawiasów. Szeroka, żwirowa aleja prowadziła prosto przez rozległy park ku niewielkiemu wzniesieniu, na szczycie którego stał dwupiętrowy, biały, mocno przeszklony budynek instytutu Ballarda. Przed nim rozciągał się spory parking, na którym stały może że trzy samochody osobowe. Sierżant zatrzymał wóz na środku wolnej przestrzeni nie gasząc silnika.

Krzysztof wysiadł z zabezpieczoną bronią i z zadowoleniem zauważył, że jego ludzie już zajęli pozycje wokół amfibii. Leon miał na głowie bandaż, w czasie szaleńczej jazdy nie zdążył się przypiąć i poleciał wprost na kontenery ze sprzętem naukowym, ale dziewczyny i Barry nie mieli nawet draśnięcia. Gorzej było z resztą. Wesker na ponad godzinę stracił przytomność, trafiony między oczy butem lecącego bezwładnie Leona, przy okazji pozbył się swoich szpanerskich przeciwsłonecznych okularów. Jeden z naukowców, bodajże Brimstone, miał otwarte złamanie ręki. Rebecca robiła co mogła, by go opatrzyć, ale

więcej w tym było chęć niż fachowej opieki. Dopiero teraz mogła przekazać jęczącego z bólu, nafaszerowanego środkami uspokajającymi i przeciwbólowymi profesora w ręce Najimy, który wprawdzie też nie był lekarzem, ale jako mistrz sztuk walki i zawodowy żołnierz, potrafił nie tylko łamać kości, ale i je składać. Na domiar złego czuł się osobiście odpowiedzialny za tę hekatombę - gdyby nie spanikował, wyszliby z tej sytuacji cało.

Krzysztof wspinał się po drabinie na dach pojazdu. Wprawdzie nie sądził, by jakimkolwiek z nosicieli udało się utrzymać podczas szaleńczej jazdy, ale wolął to sprawdzić dokładnie. Poza tym z dachu miał najlepszy punkt obserwacyjny. Długo lustrował otoczenie, zwłaszcza park, przez który przejechali przed chwilą i fasadę budynku.

- Czysto - zameldował po chwili i zeskoczył na maskę amfibii, a potem na beton.

Wesker wyszedł z wnętrza wozu, trzymając się za głowę. Nie wyglądał najlepiej, podkuty but, ważący sam w sobie kilka kilogramów w połączeniu z impetem, jaki nadała mu noga Leona zostawił widoczny nawet teraz ślad na twarzy oficera. Nawet ogromny siniec nie był w stanie tego ukryć.

- No, to jesteśmy - powiedział Krzysztof podając mu mapnik.

Desmond rozejrział się, kręcąc powoli głową i pokazał na lewe skrzydło budynku. Zamknęli amfibię i po krótkiej dyskusji postanowili zostawić przy niej Najimę. Facet nie sprawdzał się w starciach z nosicielami, mógł stanowić poważne zagrożenie dla powodzenia misji. Za pancernem powinien czuć się bezpieczny i mógł się opiekować rannym. Brimstone'a na szczęście nie musieli brać ze sobą. Hargrove tak naprawdę był jego dublerem. Teraz pozostało jedynie zebranie sprzętu, który zapakowali do wielkiego, składanego kontenera na kółkach. Podobno właśnie Brimstone wpadł na pomysł, żeby te kółka doprawić i za to byli mu cholernie wdzięczni. Co prawda daleko nie musieli go nieść, ale ważył chyba z pół tony.

Nie było czasu na dłuższe zastanawianie; po krótkiej odprawie uwzględniającej zmiany w ustawieniu oddziału, włożyli kombinezony ochronne i ruszyli w kierunku budynku. Wesker prowadził, Chris szedł za nim, ubezpieczając profesora Hargrove, dziewczyny eskortowały kontener, a Leon i Barry, obwieszeni bronią jak choinki, tworzyli arriergardę.

Weszli do wnętrza instytutu bocznymi drzwiami. Desmond chciał otwierać zamki, ale Leon posłał serię i niemal centymetrowa szklana tafla rozprysła się na milion kawałków.

- Nie ma na to czasu - Chris zdławił rodzącą się klótnię w zarodku wciągając oficera do wnętrza.

Postawili kontener na środku niewielkiego holu. Redfield wydał swoim ludziom polecenia bez używania słów, jak zawsze podczas akcji. Podczas rejsu przetrenowali wszystko stukrotnie. Barry i Leon pobiegli schodami do piwnicy, Jill siadła za konsolą recepcji. Rebecca przejęła profesora, przeciągnęła go w

kąt i przyklękła przed nim z bronią wycelowaną w głąb korytarza, którym dostali się do tego pomieszczenia. Wesker który usiadł na stanowisku ochrony patrzył na nich z lekkim zdziwieniem, dla niego pewnie byli cywilbandą, nie spodziewał się profesjonalnego działania po grupie ześwirowanych cywili.

- Panie Czerwiński... - zaczął mówić.

- Tutaj nazywam się Redfield - przerwał mu Chris.

- A, tak... Jak zjedziemy na dół, proszę powstrzymać swojego troglodytę, te urządzenia są delikatne, przypadkowy rykoszet może spowodować, że nasza misja zakończy się niepowodzeniem.

- Przekażę mu pana sugestie - odparł obojętnym tonem Chris. Cicha detonacja i ledwie wyczuwalny wstrząs, po którym z sufitu posypało się trochę pyłu wystraszyły tylko Hargrove'a. Leon, zgodnie zresztą z planem, wysadził drzwi prowadzące do rezerwowych generatorów. Jeśli marzyli o wejściu do wnętrza kompleksu, musieli włączyć zasilanie.

Przez kilkanaście minut nic się nie działo, potem nagle ożyły kontrolki na pulpitych konsoli.

- Mamy zasilanie - zameldowała Jill i zaczęła majstrować przy przełącznikach. Usłyszeli cichy szum, a po chwili melodyjny dźwięk gongu oznajmił im, że jedna z wind zjechała na parter. Chris, Barry i Leon, którzy zdążyli już wrócić z piwnicy, wycelowali broń w drzwi, ale kabina była pusta. Jedno skinienie ręki i dziewczyna podbiegła do kontenera. Wyjęła z niego niewysoki trójnóg, ustawiła go na podłodze windy, dokładnie pod klapą ewakuacyjną w suficie. Lufa swojego Mossberga pchnęła ją mocno wyważając słaby zamek. Na koniec wysunęła składaną antenkę i włączyła urządzenie. Mała czerwona dioda zaczęła pulsować rytmicznie nad obiektywem.

- Układ blokady na poziomie czwartym usunięty! - krzyknął Wesker.

- Kamera aktywna - rzuciła Jill i wycofała się z windy, naciskając najniższy guzik na panelu.

Drzwi zasunęły się cicho i winda ruszyła w dół. Chris włożył nóż między skrzydła drzwi zanim się zamknęły, teraz, wspólnie z Jill rozchyłili je na szerokość ząbkowanego ostrza i zablokowali. Dziewczyna rozłożyła na podłodze laptop podłączony do odbiornika. Po chwili mieli całkiem wyraźny obraz przedstawiający fragment drzwi windy. Poczekali parę sekund i nagle drzwi rozsunęły się ukazując długi, całkowicie pusty korytarz. Masywne wrota na jego drugim końcu, oznaczone znajomym znacznikiem były zamknięte.

- Teren czysty - powiedziała Jill i przywołała windę. - Wrota zamknięte.

- Przechodzimy do fazy drugiej - powiedział Wesker, wychodząc z za lady.

Zjechali wszyscy razem, ściśnięci jak sardynki w puszcze. Profesora musieli posadzić na kontenerze, bo

inaczej nie zmieściłby się w kabinie. Potem odesłali kabinę na parter ponownie ustawiając kamerę. Niewielką dziurę w podłodze kabiny zrobili za pomocą shotguna. Obraz był równie czysty jak ten uzyskany poprzednio. I równie monotony...

Na poziomie minus cztery Wesker zajął się systemem zabezpieczeń potężnych stalowych drzwi, Chrisowi kojarzyły się z tymi, które widział w Canberze. Zapewne były równie grube jak tamte, a może i grubsze. W każdym razie nie do ruszenia tymi środkami, jakie mieli. Jeśli pułkownik nie da rady, to...

Wesker otworzył panel zamka i podłączył do niego kilka przewodów połączonych z niewielką skrzynką. Na elektronicznym wyświetlaczu pojawiły się szybko zmieniające się cyfry.

- Jak na Bondzie - szepnął scenicznie Leon.

- Niezupelnie - powiedział pułkownik. - Zasada może i jest taka sama, ale tutaj to może potrwać i godzinę.

Niewiele się pomylił. Dokładnie pięćdziesiąt trzy minuty później poznali całą sekwencję kodu. Znudzeni likwidatorzy zbrali się znów przy oficerze, który właśnie przepisywał kod do swojego palmtopa. Przeliczyli się jednak, sądząc, że to już koniec pracy nad tymi drzwiami. Widząc ich zaciekawione miny Wesker powiedział:

- To była najprostsza część zadania.

- To znaczy? - zapytał Chris.

- Teraz muszę obejść skaner siatkówki oka - oficer wskazał na urządzenie stojące na pulpicie obok niego. - Mam dwie możliwości, albo uda mi się wprowadzić do systemu moją siatkówkę, albo musimy go zneutralizować...

Na dźwięk tych słów Leon z tryumfalnym uśmiechem przeładował broń.

- Nie, synu - pułkownik wstał. - Nie tak.

- Żartowałem...

- Mam nadzieję. Jeśli ten czytnik ulegnie jakimkolwiek uszkodzeniu, to nigdy tam nie wejdziemy.

Rozeszli się na swoje miejsca. Jill do pilnowania windy, Rebecca i faceci do gry w pokera z profesorem, który okazał się nader sprytnym graczem i miał przed sobą największą kupkę naboji.

Chris usiadł pod ścianą obok drzwi i przyklnął oczy. Nie chciało mu się spać, dyskretnie obserwował Weskera, który usiadł przed konsolą i zaczął coś w nią wpisywać. Obraz z monitora odbijał się w szklanych drzwiczkach szafki stojącej pod ścianą, niezbyt wyraźnie, ale i nie o detale Chrisowi chodziło. Co jakiś czas pułkownik wyjmował kolejne płyty z zasobnika, który miał w swoim zestawie, wgrywał dane, zmieniał je. Słowem, odwałal kawał dobrej, hakerskiej roboty. Kilkakrotnie ściągał helm i przykładał oczy do skanera, ale za każdym razem na monitorze pojawiał się krwistoczerwony napis, którego treści Redfield mógł się domyśleć. Wreszcie, chyba za szóstą próbą, coś zaskoczyło. Nie pojawiła się czerwień, ale jakieś logo na niebieskim tle. Chris już zamierzał wstać, ale

zobaczył, że Wesker nie przerywa pracy, jedynie rzucił szybkie spojrzenie na czekających w korytarzu ludzi i siadł do konsoli. Tym razem nie przeglądał żadnych programów, ale dokumenty, kartoteki, zdjęcia. Pojawiły się też obrazy z kamer przemysłowych. Trwało to kilkadziesiąt sekund, po czym ekran zgasł. Pułkownik raz jeszcze przysunął się do skanera, tym razem chrząkając głośno, jakby chciał zwrócić ich uwagę. Potem wstał i wprowadził kod z palmtopa do panelu na wrotach.

Usłyszeli serię stłumionych dźwięków i nagle okrągła masa metalu odsunęła się, otwierając przejście do wnętrza kompleksu badawczego.

Uśmiechnięty Wesker założył ponownie helm, przepuszczając zespół przed sobą. Chris poczekał na Barrego, wszedł do przestronnej słuzy razem z nim, a gdy oddalili się o kilka kroków, pokazał mu na migi, by zmienił kanał łączności na awaryjny.

- Co jest? - zapytał zaniepokojony Burton.

- Nic, chcę, żebyś miał oko na Weskera. On chyba nie mówi nam całej prawdy...

Barry uśmiechnął się.

- Zupełnie jak w Residencie - powiedział i odpiął rękojeść noża.

Drzwi przed nimi otworzyły się kilka sekund po tym, jak zamknęły się wrota zewnętrzne. Były to znacznie cieńsze, dwuskrzydłowe drzwi z tytanu. Z cichym sykiem oba skrzydła zniknęły w ścianach ledwie zgasły lampy naświetlaczy. Oślepieni ich blaskiem potrzebowali kilku sekund by przyzwycząić wzrok do półmroku, a gdy już zaczęli coś widzieć...

Leon zaczął strzelać pierwszy. On zawsze reagował nerwowo.

- Przerwać ogień - krzyknął Chris, pamiętając o przestrodze pułkownika, ale nadal miał przestrojony odbiornik. Równocześnie z Barrym, który jako jedyny go usłyszał, zaczęli majstrować przy komunikatorach. Gdy wrócili na stałą częstotliwość ich helmy wypełniły się kakofonią krzyków. Strzelało już co najmniej troje członków zespołu Alfa.

- Przerwać ogień - powtórzył najgłośniejszy jak mógł. Tym razem poskutkowało.

Ledwie strzały ucichły, do akcji włączył się Wesker.

- Bando pojebów, co powiedziałem?! - darł się a wtórował mu profesor, który szybko podniósł się z ziemi. - O co prosiłem?! Wszystko spierdoliście!

- Ale tam był... - oszołomiony Leon wskazał w głąb pomieszczenia, które wyglądało, jakby dokładnie przez jego środek przeszedł tajfun.

- Co tam było? - zapytał chłodno Chris.

- Nie wiem... -jąkał się chłopak. - No, człowiek tam był...

- Ja też go widziałam - poparła go Jill.

- I ja, biegł w naszą stronę - Rebecca była bardziej konkretna.

Chris rozejrział się po pomieszczeniu.

- I gdzie on teraz jest?

Wszyscy kolejno wrzuszali ramionami i kręcili głowami.

- No właśnie, sprawdzić mi ten burdel, ale nie strzelać. Wkroczyli do pokoju i sprawnie, parami, dokonali przeszukania. Bez efektu. Tajemniczy człowiek zniknął bez śladu.

- Nie mógł być zarażony - powiedział Barry, gdy wrócili. - Nosiciele nie chowają się przed kulami, nie uciekają.

- Wyglądał paskudnie - wtrąciła Rebecca.

- Też byś tak wyglądała po sześciu miesiącach w ciemnicy. W czasie, gdy zastanawiali się, kim był mieszkaniec tych

podziemi profesor obejrzał wszystkie urządzenia.

- Macie szczęście lobuzy - powiedział po chwili. - To przedsiownik właściwej hali, nie było tu nic, czego nie da się zastąpić.

W trzy godziny uporali się z większą częścią roboty. Profesor krążył po laboratoriach i wskazywał na kolejne urządzenia i komputery, które rozmontowywali pod jego czujnym okiem i pakowali do kontenera. Roboty było tyle, że nawet Chris się do niej włączył, nie na długo jednak. Właśnie rozkręcał kolejny komputer, by wyjąć z niego dyski, gdy zauważył, że Barry macha do niego z korytarza, pokazując umówiony znak zmiany kanałów. Przeształ interkom i zapytał:

- O co chodzi?

- Wesker mi zniknął.

- Hargrove kazał mu przed chwilą zanieść do kontenera walizki z odczynnikami.

- Wiem, widziałem jak wychodził, ale nie wrócił tutaj.

- Może jest w dużej sali?

- Nie, poszedłem to sprawdzić.

- Kurwa - Chris wahał się przez moment, ale koniec końców odłożył śrubokręt i zabierając broń, wybiegł na korytarz.

- Każ wszystkim prócz profesora przejść na trzeci kanał awaryjny. Zbieramy się przy kontenerze.

- Zrozumiałem, trzeci awaryjny - Barry ruszył w przeciwną stronę.

W dużej sali rzeczywiście nie było nikogo, Redfield zakręcił się i zaklął, to było centralne pomieszczenie kompleksu, można było z niego wyjść do kilkunastu mniejszych laboratoriów i na klatki schodowe, prowadzące na niższe, magazynowe poziomy.

- Co jest? - pierwsza pojawiła się Jill.

- Chodź ze mną - złapał ją pod łokieć i pociągnął w kierunku przeszklonej salki. Rozejrzał się po urządzeniach w niej stojących i wskazał pulpit z szeregiem monitorów w kącie. - Potrafisz to uruchomić? - zapytał.

- Nie powinno być problemów, jeśli dostęp nie jest zahaslowany...

- Zrób to jak najszybciej, proszę.

- Jedno życzenie dla mnie.

- Wal się, dziewczyno.

- Jedno życzenie - powtórzyła z filuternym uśmiechem.

- Dobrze - zgodził się i rozczochrał jej włosy na czole.

- Słowo harcerza?

- Słowo.

- Okay - powiedziała i przysunęła sobie najbliższe krzesło. Chris wrócił do sali, gdzie już czekali pozostali. W kilku

zdaniach streścił im to, co widział przy wrotach. Jakkolwiek by na to nie patrzeć, zachowanie pułkownika było co najmniej dziwne, jeśli nie podejrzaną. Zwłaszcza że w grę wchodził jeszcze tajemniczy człowiek...

- Jill próbuje uruchomić kamery przemysłowe, widziałem, że ten skurwiel miał do nich dostęp. A ca z profesorem?

- Zamknąłem go w jednym z pokoi - powiedział Barry. - Nie będzie zawadzał przez chwilę. Możemy spokojnie zająć się Weskerem.

- Wesker - prychnął Leon, w jego ustach zabrzmiało to jak najgorsze przekleństwo.

- Trafnie go nazwalimy - dorzuciła swoje trzy grosze Rebecca. - Trzeba wyrwać chwasta...

- Tak na dobrą sprawę to nie wiemy co tu jest grane

- Barry był spośród nich najstarszy i najbardziej opanowany. - I na razie nie za bardzo mamy go za co wyrwać... Mógł pójść do kibla...

- Fakt - dziewczyna, acz niechętnie, przyznała mu rację.

- Mnie tam wszystko jedno, ją bym go chętnie posłał w zombiaki - Leon ostentacyjnie przeładował shotguna.

- Gotowe! - Jill stanęła w drzwiach dyżurki. - Bulka z masłem.

Rzucili się do pomieszczenia. Chris usiadł przed konsolą ale nie za bardzo wiedział od czego zacząć.

- Moge? - Jill zrzuciła go z krzesła i rozciągnęła palce jak pianista przed koncertem. Aż zatrzeszczały wszystkie stawy. - Co chcecie zobaczyć?

- Wszystko - mruknął Leon.

- Rozbierać się nie będę - odparowała jak zwykle celnice.

- Precyzyjniej proszę.

- Zaczynij od najniższego poziomu - powiedział Chris.

- Się robi... - przesunęła dłońmi po rzędach przycisków, wybierając kilka zdawało się, zupełnie przypadkowych. Wszystkie monitory ożyły, większość pokazywała całkiem dobry obraz, jednak kilka szwankowało. Przyglądali się każdemu ujęciu, szukając najmniejszego śladu bytności pułkownika. Na darmo.

- Może rzeczywiście dostał od tego wszystkiego sraczki - Rebecca zaśmiała się nerwowo, kiedy skończyli sprawdzać najniższy poziom.

Kamery środkowego piętra włączały się nieco wolniej, kilka mocno śnieżyło. Odsetek niesprawnych był tu dużo większy.

- Cholera - syknął Chris. - Trzeba będzie tam zejść w ciemno...

- Niekoniecznie - powiedziała Jill, wskazując na jeden ze skrajnych monitorów. Widać było na nim wymizerowanego człowieka w mundurze. Stał tyłem do kamery i wyglądał zza węgła, jakby coś lub kogoś obserwował. Nie miał żadnej broni w rękach, kabura przy pasie była odpięta i pusta.

- Kto to, kurwa jest - Leon pochylił się by widzieć wyraźniej zarośniętego mężczyznę. - Nie możesz dać go na duży ekran?

- Pewnie mogę - odparła blondynka i zaczęła przeszukiwać drugą stronę konsoli. Po chwili mieli to samo ujęcie na centralnym, dwudziestodziwiościocalowym monitorze.

- Mogę to wam nawet nagrać - dodała po chwili Jill odchylając się na krześle. - I nagrywam.

Skupili się na tym jednym ujęciu, ale gdy Barry na moment przeniósł wzrok na pozostałe ekrany zauważył coś znacznie ciekawszego.

- Patrzcie, kogo tutaj mamy - powiedział.

Obraz z monitora na który pokazywał natychmiast pojawił się w centrum.

- Proszę, oto i nasza zguba. - Leon z trzaskiem położył broń na konsoli. - Pieprzony Jaś Fasola wybrał się na zwiedzanie...

Chris chciał go uciszyć, ale uprzedziła go Rebecca.

- Patrzcie! - zawołała.

Facet w mundurze wyskoczył zza węgła wprost na Weskera. Ten zatrzymał się i podniósł ręce, niezupełnie do góry, ale na tyle, żeby pokazać, że są puste. Obcy krzyknął coś i zaczął ostro gestykulować. Pulkownik słuchał, nie ruszając się z miejsca, potem chyba coś powiedział, tego nie byli pewni, bo mieli tylko wizję. Reakcja mieszkańca kompleksu była natychmiastowa, machał rękami, kręcił głową, bil się w piersi.

- Zdaje się, że ten gościu był przez te pół roku sam na sam z archiwalnymi numerami Playboya - powiedział Leon.

- To żył zupełnie jak ty - wpadła mu w słowo Rebecca. - Ale na swoje usprawiedliwienie miał to, że nie mógł stąd wyjść.

Roześmiali się wszyscy, nawet Leon, choć do niego pila. Zbierał się by celnie zripostować. Nie umiał odpowiedzieć z biegu, jak dziewczyny, zawsze chwilę się namyślał, ale często potrafił im odpłacić pięknym za nadobne. Tym razem nie zdołał. Wesker odpiął helm i pokazał twarz płaczącemu żołnierzowi. Tamtego zamurowało. Widzieli, jak porusza nieczornie ustami i wybalusza oczy. Potem rzucił się do ucieczki, ale nie zdążył przebiec trzech kroków, gdy dosięgnęły go kule. Pulkownik trafił go trzy razy, ostatni strzał musiał strzaskać kręgosłup biedaka, bo zwałił się na podłogę jak kupa szmat. To, co nastąpiło chwilę później było klasyczną egzekucją.

- No, pięknie, ktoś ma jeszcze obietcje przed rozwaleniem drania? - zapytał Leon.

- Tak, ja - powiedział Chris. - Mam cholerną ochotę dowiedzieć się, o co chodzi w tej zabawie... a tylko on może mi to zdradzić.

- Wraca - szepnęła Jill. - Pan skurwiel tu wraca... Rzeczywiście, Wesker zapinał helm i szybkim krokiem zmierzał ku kolejnej kamerze. Jill sprawdzała na schemacie, skąd odbierali przekazy. - Zaraz wejdzie na schody.

- Udajemy, że skończyliśmy robotę - powiedział Chris. - Wszyscy do kontenera! Ale jak mi go zabijecie, zanim dowiem się, o co tu chodzi, to sami będziecie gryźć ziemię. To dotyczy zwłaszcza ciebie, napalony sukinsynu - dźgnął palcem Leona, który, jak na zawołanie, zrobił niewinną minę.

Wyszli z dyżurki i zajęli się układaniem rzeczy w kontenerze, nawrzucałi do niego, co tylko było pod ręką, żeby wyglądało na to, że solidnie wykonali robotę. Tylko Jill i Rebecca usiadły na stołach laboratoryjnych blokując na wszelki wypadek obie drogi ucieczki. Pulkownik pojawił się dosłownie pół minuty później. Zdziwił się, widząc ich wszystkich w tym miejscu, ale to był ułamek sekundy. Ruszył z wymuszoną swobodą w ich kierunku. Uśmiechał się nawet.

- Co to, już fajrant? - zapytał Chrisa.

- Dokładnie. Mamy już wszystko, co profesor Hargrove wynalazł na tym piętrze.

- Nieźle - mruknął Wesker. - A gdzie staruszek?

Chris zastanawiał się, co powiedzieć, ale Jill go uprzedziła.

- Znalazł jakieś dokumenty i je przegląda.

- Dokumenty? - zdziwił się oficer.

- No, przecież mówię - Jill zeskoczyła ze stołu, nie musiała już blokować tej strony. Wesker stał dokładnie między Bar-rym a Chrisem. - A pan gdzie się stracił?

- Zabezpieczyłem klatki schodowe - odparł obojętnym tonem pulkownik, zaglądając do kontenera. - Na wypadek, gdyby ten tajemniczy osobnik próbował znów zaatakować. - Nagle Wesker pochylił się i wyjął jedno z urządzeń, którymi przed chwilą wypełnili kontener. - Po cholere ten stary głupek kazał zabierać taki złom? - zapytał, odwracając się do Chrisa.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się tak szybko, że trudno było określić jaka była ich kolejność. Spektrometr wylądował na twarzy Chrisa. Leon, który właśnie go obchodził nie miał czystego pola do oddania strzału, upadający partner nieomal wytrącił mu broń z ręki. Ta sekunda opóźnienia kosztowała go życie, zanim ponownie podniósł broń, miał już dwie kule w klatce piersiowej. Wesker skoczył szczipakiem na stół, z którego zeszła przed chwilą Jill i sunąc po nim zdążył wystrzelić jeszcze trzy razy, na szczęście niecelnie, ale uzyskał jeden efekt - kilka dodatkowych sekund przewagi. Otworzyli ogień w chwili, gdy przemyczał na czworakach między rzędami stanowisk laboratoryjnych.

- Nie dajcie mu uciec - krzyknął Barry po polsku posyłając długą serię w miejsce, z którego dobiegało szuranie. - Dziewczyny, odetnijcie mu drogę do drzwi!

Obie ruszyły jednocześnie. Drzwi, o które chodziło Barry'emu były tylko jedne, te, którymi tu weszli. Ale zbieg najwyraźniej nie do nich zmierzał. Był już przy dyżurce, jeszcze sekunda i jej drzwi zatrzasknęły się za nim.

- Tam jest! - krzyknęła Rebecca i ukryła się za sporą wirówką. Z niewielkiego pomieszczenia nie można było uciec. Zatem Wesker znalazł się na własne życzenie w pułapce bez wyjścia. I to ich zaniepokoiło.

Chris, który dopiero teraz doszedł do siebie po uderzeniu, usiłował wstać, ale Rebecca pociągnęła go za stół. - Nie wystawiaj się na strzał - syknęła mu w ucho, a gdy popatrzył na nią i pokiwał głową na znak, że rozumie, przeczołgała się do Leona.

- Co z nim? - zapytał Barry zza szafki z odczynnikami. - Tylko nie odpowiadaj mi po angielsku!

- Raczej nie ma szans na zostanie nosicielem - dziewczyna skwitowała śmierć Leona po swoim, ale gdy się odwracała, Chris mógłby przysiąc, że zobaczył w jej oczach łzy. Przez te sześć miesięcy pracy na granicy naprawdę się zżyli...

- Wyrwijmy chwasta - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Ja przestrzelę szybę, ty wrzucisz granat, ale nie na trzy... Wolę, żeby to ścierwo nie zdążyło odrzucić.

- Muszę z nim pogadać - Chris złapał ją za rękę, którą wyciągała w kierunku ciała zabitego kolegi. Miał przy pasku sześć zaczepnych granatów.

- Jedyne, co musisz, to umrzeć - powiedziała, wyszarpując dłoń.

- Owszem, ale jeszcze nie teraz. Jeśli go teraz zabijesz, nigdy nie dowiemy się, o co tu chodzi...

- A co, chcesz go wziąć głodem? - zakpiła.

- Nie - pokazał ruchem głowy na bok kontenera do którego obok kilku automatów przymocowany był znajomo wyglądający futerał. - Zagadajcie go tylko...

Uśmiechnęła się pokazując rząd niezbyt białych zębów.

- Masz dwie minuty - powiedziała, posłała mu całusa i zniknęła za rogiem stołu. - Natychmiast

Chris wyjął ostrożnie swój karabin z futerału. Nigdy się z nim nie rozstawał, od czasu, gdy go otrzymał z rąk generała Cyrkonina w nagrodę za zlikwidowanie dwóch zamachowców - samobójców, którzy zamierzali wysadzić Toyotę z wizytującymi polski kontyngent w Iraku członkami rządu. Rok później z tej samej broni... Krew na rysunku pochodziła od więcej niż jednej osoby...

Przeczołgał się na tyle szybko, na ile pozwalał ból w stłuczonej głowie na koniec sali. Tam znalazł miejsce, z którego widział okno dyżurki. Nie ryzykował niepotrzebnie, oparł broń

o szczyt szafki, za którą się przychylił i spokojnie czekał na rozwój wydarzeń. Dziewczyny zasypały okno dyżurki gradem kul ze swoich MP piątek. Barry poważnie uszkodził drzwi, strzelając do nich raz za razem z Mossberga. Ale robił to rozważnie, pod dużym kątem, żeby nie zabić przypadkiem pułkownika. Chris czekał, czego jak czego, ale cierpliwości, podstawowej cechy snajpera, mu nie brakowało. I doczekał się,

Wesker był doświadczonym żołnierzem, wyjrzał tylko na moment, na ułamek sekundy, by sprawdzić przedpole. Ale to wystarczyło, by go zlokalizować... Wzmocniony nabój z tej odległości powinien przebić cienką ściankę działową, stół przejść na wylot przez ciało ofiary. A ta jeśli pamięć nie myliła Chrisa, mogła tylko siedzieć oparta o regał w rogu. Przymierzył się bardzo dokładnie i czekał na następny ruch.

Wesker znów wystawił czubek głowy by zobaczyć, co się dzieje. Chris był tym razem szybszy od niego. Jeden strzał, jedna śmierć... tym razem rozłożona na raty. Gdy odsunął lunetę od oka, papiery z biurka jeszcze wirowały w powietrzu.

Wesker leżał pod ścianą w kaluży krwi, trzymając się za klatkę piersiową. Kula przebiła mu szczyt płuca i strzaskala obojczyk. Prawa ręka wisiała bezwładnie a pistolet spoczywał na podłodze tuż obok drgającej spazmatycznie dłoni. Barry odkopnął broń w kącie trafiając przy okazji w palec. Pułkownik jęknął przeciągle, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Każdy ruch tej części ciała musiał być okupiony niezmiernymi mękami.

Ale to najmniej obchodziło tych, którzy go otaczali.

Jill z miną fachowca pogratulowała Chrisowi precyzji strzału. Potem zrobił to Barry a na końcu Rebecca. Wesker patrzył obojętnym wzrokiem osoby, która już pogodziła się ze śmiercią. Na wargach zaczęły mu się pojawiać pierwsze krwawe bąbelki.

- Dawaj kod do drzwi wyjściowych - Barry jeszcze raz, ale już rozmyślnie trącił jego rękę.

- Przestań... - jęknął pułkownik i powiedział przez zaciśnięte zęby coś, czego nie zrozumieli.

- Dawaj kod do drzwi wyjściowych - powtórzył spokojnie likwidator i dłoń raz jeszcze zetknęła się z podkutym butem.

Tym rażeni nie usłyszeli nic prócz jęku przypominającego bardziej zwierzęcy skowyt niż ludzki głos. Ranny tracąc równowagę, osunął się na prawą stronę, co wywołało ucisk na strzaskane kości i kolejną falę bólu.

- Ja mogę tak długo - Barry nie wyglądał na poruszonego tym faktem. Podniósł nogę do kolejnego kopnięcia.

- Cze... kaj - jęknął Wesker. - Palm... top... - wskazał ruchem głowy na kieszeń munduru.

Jill przyklękła przy nim i sprawnie wyluskała urządzenie. Usiłowała je włączyć, ale wciąż otrzymywała komunikat o niemożności dostępu.

- Daj... - szepnął ranny, prostując palec zdrowej ręki. Spojrzała pytająco na Chrisa. Ten po chwili skinął głową.

Włożyła palmtop do dłoni pułkownika, a ten przycisnął kciuk w wydzielonym kwadracie wyświetlacza. Tyle tylko zdołał zrobić, zanim urządzenie wyślizgnęło mu się z omdlewającej dłoni.

Jill schyliła się, by mu je podać, ale pokręcił głową, a na twarzy pojawiła się parodia uśmiechu.

- Ma... cie... prze... jeece - zaczął, ale Barry znów uderzył, tym razem mocniej.

- Co zrobiłeś, śmieciu? - ryknęła Rebecca, ale pułkownik nie odpowiedział, stracił przytomność.

Jill spojrziała na wyświetlacz i zrobiła się blada jak kreda. Gdy spojrziała na pozostałych likwidatorów, nawet jej chabrowe oczy zdawały się być bardzo ciemne. Pokazała wszystkim cyfry timera odliczające czas.

- Musimy go obudzić! - Chris popchnął Rebecce. - Przy kontenerze jest apteczka...

Pobiegła natychmiast i równie szybko wróciła. Zaaplikowali Weskerowi środki uśmierzające, ale w niezbyt dużej dawce. Zatomowali też upływ krwi. Dopiero potem przystąpili do cucenia. Ledwie otworzył oczy, miał przed nimi swojego palmtopa.

- Co to jest, angielska gnido! - zapytał Chris.

- Wyrok... na... was...

- I na ciebie! - prychnęła Jill.

- Ja i tak już nie żyję - środek zaczął działać, grymas bólu ustępował powoli z twarzy pułkownika, oczy zaszyły mu mgłą.

- Co to jest? - powtórzył spokojniej Chris.

- Sekwencja samozniszczenia... Czas do uaktywnienia małego, walizkowego ładunku nuklearnego... tak małego, że go nigdy nie znajdziecie... to tylko 15 kiloton, ale w tym kompleksie nie pozostanie nic, po prostu nic... Za okrągłutkie osiem godzin...

Barry splunął, a Rebecca ze złością cisnęła strzykawkę w kąt.

- Dlaczego? Dlaczego?! - krzyknęła.

- Biedni głupcy... - mruknął wyraźnie rozluźniony ranny. - Mogliśmy stąd wyjść... Ale ten debil Webster...

- Kto?

- Webster, mój zastępca... Prowadził dział eksperymentów z mutacjami... Jak w tej waszej grze...

- Z mutacjami? Z jakimi mutacjami?

- Zobaczcie... wkrótce... Webster dbał o nich... Spojrzeli po sobie niepewnie. Jill podbiegła do konsoli i próbowała uruchomić kamery. Nadaremnie, zbyt wiele sprzętu zniszczyli podczas strzelaniny.

- Klamiesz - powiedział Barry, nerwowo ściskając shotgun.

- Nie... Po co miałbym kłamać... Wy od początku nie nie wiedzieliście... I nie mieliście wiedzieć...

- To nas oświeć, pułkowniku - szepnęła mu do ucha Jill.

- Proszę bardzo... - odpowiedział z lekkim opóźnieniem. - Ta operacja to kit... Począwszy od tych zarażeń w strefie... przez gadkę o potrzebie zdobycia technologii potrzebnej do wytwarzania surowicy... - zakaszła a z kącika ust popłynęła mu cieniutka strużka krwi. - Rząd w Canberze już dawno opanował tę technologię, dostarczyłem im ją na tacy...

- A William? - zapytał zdezorientowany Chris. - To też kit?

- Jaki William? - zdziwił się Wesker. - A, książę? Mówiłem Crowderowi, żeby wymyślił jakąś ładnie brzmiącą historyjkę... William leży sobie gdzieś pod Londynem albo wciąż snuje się z innymi po ulicach...

- To po co tu przyjechaliśmy?

- Żeby usunąć ślady... Wszystkie ślady wskazujące, że to w tym miejscu powstał wirus, że to z tego miejsca się wydostał i to nie przypadkowo... Żeby mógł dokończyć moje dzieło zniszczenia...

- A jakie to ma teraz znaczenie?

- Głupcy, żyjecie tym, czym was karmią, a to wszystko kłamstwa... Australia nie jest jedyną oazą życia na planecie... Rusecy okopali się na północy, mają przynajmniej trzy strefy większe od naszej... Amerykanie odcieśli półwysep kalifornijski, trzymają się mocno w Górach Skalistych... Jest nawet, utworzona z połączonych sił szóstej i siódmej floty, pływająca republika admirała Lewisa... Są dziesiątki miejsc na świecie, gdzie ludzie przetrwali... Blokujemy wszelkie transmisje, utajniamy każdą informację na ten temat...

- Ale po co? - zapytała naiwnie Jill.

- Bo mając wirusa i szczepionkę, pozbywamy się sukcesywnie innych nacji... Słońce już nigdy nie zajdzie nad terytorium korony...

To były ostatnie słowa Weskera, upływ krwi w połączeniu ze środkami, jakie mu zaaplikowały dziewczyny zrobił swoje, a może serce nie wytrzymało.

- Pieprzona Umbrella! - Barry splunął na martwego pułkownika.

- No to mamy niezły problem. - Chris usiadł na krześle i wyciągnął rękę po palmtop. - Siedem godzin i pięćdziesiąt minut do eksplozji - powiedział. - W tym czasie musimy odnaleźć bombę, co samo w sobie jest już prawie awykonalne, obejść zabezpieczenia wyjścia i najprawdopodobniej zlikwidować kilku znacznie mniej przyjemnych przeciwników.

- Zaraz - Barry nagle stuknął się w czoło. - Czy ten palant nie powiedział, że to bomba walizkowa?

- Owszem.

- No, to jeden problem możemy mieć z głowy - likwidator wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- O czym ty gadasz?! - wybuchnęła Rebecca. - Tu jest ze sto pomieszczeń, a w każdym całe tony sprzętu, którego nie znamy. Jak chcesz w tym całym burdelu znaleźć coś tak małego jak walizka.

- Proste - odpowiedział Barry. - Nie sądzę, żeby ta bomba była tu wcześniej. A jeśli się nie mylę, to znaczy, że przyniósł ją ze sobą...

- Bingo - Chris uśmiechnął się kwaśno. - Ale nie zapominajmy, że choć wiemy jak ta walizka wygląda...

- Spoko, kazaleś mi drania pilnować. I pilnowałem, akurat wiem, gdzie ją zostawił.

Światło w dyżurce na moment przygasło, a gdy się zapaliło ponownie, było znacznie ciemniejsze. Z dolnych poziomów dotarł do nich jęklivy dźwięk syreny.

- Skażenie sektora - powiedziała Jill, naśladując znajomy im wszystkim głos. - Cały personel prosimy o natychmiastową ewakuację...

- Skąd ja to znam? - Chris wstał z krzesła i przeladował broń.

- Każdy Resident zawsze się tym kończy - odpowiedziała mu Rebecca.

Robert J. Szmidt